Nr. 11 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 czerwca 1932 | Rok 54

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochronne

obowiązujące na terenie Rzeczypospolitej z wyjątkiem województwa śląskiego

(Czas ochronny oznaczony jest ciemnemi polami)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Łosie - byki [1])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Jelenie - byki, daniele - rogacze [2])	■	■	■	■	■	■	■	■	|15		■	■
Sarny - kozły [2])	■	■	■	■	|15						■	■
Zające - szaraki [2])	|15	■	■	■	■	■	■	■	■	|20		
Zające - bielaki		15|	■	■	■	■	■	■	■	■		
Niedźwiedzie [3])	15|	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|15
Rysie [4])	15|	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|15
Borsuki [5])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki [6])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Głuszce - koguty	■	■	|15		15|	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	|15				
Cietrzewie - kury w wojew.: Wil, Białost., Nowogr., Polesk., Woł.		■	■	■	■	■	■	|15	15|	■	■	■
Jarząbki, pardwy		■	■	■	■	■	■	|15				
Bażanty - koguty [7])		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy w woj.. Wil., Białostoc., Nowogr., Polesk., Woł., Krak., Lwowsk., Stanisławowsk., Tarnopol. [7])	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Kuropatwy w województwach pozostałych [7])	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki . . . od przylotu			■	■	■	■	■	■				
Słonki					15|	■	■	|15				
Bataljony						■	|10					
Dzikie kaczory [8])						■	|15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	|15					
Dropie, dropie - kamionki (strepety), [9])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	|15				
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15|	■	■					
Dzikie indyki - samce [10])					15|	■	■	■	■	|15		
Dzikie indyki - samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|15		
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	|15				

Zabrania się wogóle polować na: żubry, bobry, kozice, świstaki, na samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w Województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem na cietrzewie-kury. Minister Rolnictwa uprawniony jest zezwolić na polowanie na te zwierzęta z wyjątkiem żubra i bobra.

[1]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730.
[2]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[3]) Min. Roln. z dnia 11. V. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 51, poz. 423.
[4]) Min. Roln. z dnia 23. VI. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 60 poz. 487.
[5]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[6]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr 94, poz. 730.
[7]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[8]) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
[9]) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730
[10]) Min. Roln. z dnia 26. VI. 1929 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 50, poz. 416.

Wszystkie terminy ochronne należy rozumieć włącznie

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

Biuro M. T. Ł. podaje niniejszem do wiadomości, że część własnych i komisowych wydawnictw może oddać po cenach zniżonych, jak następuje:

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk	zł 1·—	(zamiast 6·—)
Lisowice III. tom	„ 1·—	„ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku	„ 1·—	„ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek	„ 1·—	„ 3·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. po	„ 10·—	„ 20·—

Sztolcman Jan: Żubr	zł 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910	„ —·30
Ustawa Łowiecka R. P. P. z r. 1927	„ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: „Słonka"	„ 2·50

z doliczeniem opakowania i porta

Wiadomości handlowe

Ceny targowe zwierzyny łownej w czerwcu 1932 r.

Sarnina kg	od zł 0·00 do 0·00
dzik kg	„ „ 0·50 „ 0·00
zając ze skórą	do „ 0·00
„ bez skóry	od „ 0·00 „ 0·00
bażant	od zł 0·00 do 0·00
kaczka	„ 2·00
słonka	„ 2·50

Ceny surowców zwierząt futerkowych pochodzenia kraj.

Kuna (różnica między kaminką a tumakiem nieznaczna)	od zł 70·00 do 80·00
wydra waha się w granicach	„ „ 90·00 „ 100·00
lis który dawniej królował, dziś niema wielkiego popytu, to też cena lisa wynosi	„ „ 25·00 „ 40·00
tchórz	„ „ 12·00 „ 16·00
borsuk	„ „ 13·00 „ 15·00
wiewiórka	od zł 1·00 do 1·20
gronostaj	„ „ 7·00 „ 8·00
zając	„ „ 0·90 „ 0·00
królik kuśnierski	„ „ 1·00 „ 1·20
skóra sarnia	„ „ 2·00 „ 2·50
skóra jelenia	„ „ 4·00 „ 5·00
skóra z dzika	„ „ 4·00 „ 6·00

TREŚĆ NUMERU 11:

Nr. 11 We Lwowie, 1 czerwca 1932 Rok 54



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXXI. ZJAZD ŁOWIECKI M. T. Ł.

ODBĘDZIE SIĘ W DNIU 26 CZERWCA 1932 R. WE LWOWIE

MSZA ŚWIĘTA przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety odprawioną zostanie o godzinie 9-tej rano.

WALNE ZGROMADZENIE Członków M. T. Ł. odbędzie się o godzinie 10-tej rano w sali Kasyna Narodowego przy ul. Mickiewicza l. 6 (parter).

STRZELANIE PREMJOWE odbędzie się tylko w razie zgłoszenia się przynajmniej 15-stu uczestników.

Do strzelców, którzy brali udział w zawodach w ostatnich 5 latach zwróciliśmy się pisemnie z prośbą o oświadczenie się czy będą w zawodach uczestniczyć, na tem zaś miejscu zwracamy się do wszystkich Członków Towarzystwa, a w szczególności do tych, którzy w ostatnich latach do M. T. Ł. przystąpili i do młodzieży myśliwskiej z prośbą zgłoszenia uczestnictwa ustnie lub pisemnie najdalej do 8-go czerwca 1932 r. w biurze M. T. Ł. ul. Ossolińskich 11.

Z inicjatywy Małopolsk. Tow. Rolniczego odbędzie się w dniach 24, 25 i 26 czerwca b. r. w jednym z pawilonów, na placu powystawowym Wystawa psów rasowych.

Zwracając uwagę Myśliwych na powyższą okoliczność, wyrażamy nadzieję, że dzięki Ich zainteresowaniu się, dział psów myśliwskich, obficie będzie obesłany. Po blankiety zgłoszeń i regulamin wystawowy należy zgłaszać się pod adresem: Lwów, Targi Wschodnie — Wystawa psów, lub do biura M. T. Ł.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

Polowanie na lwa sposobem buszowania po okolicy, gdzie tenże zaległ — i tropienie go samemu, względnie przy pomocy tropiciela — owe „fair hunt" — może dać rzeczywiście największą dozę emocyj, wymaga jednak dużego doświadczenia i zupełnego opanowania nerwów. Uwagę należy mieć zawsze skupioną, a oko i ucho na wywiadach. Jedna chwila roztargnienia lub zlekceważenia sytuacji — może unicestwić cały trud podjęty. Lew — o ile nie skrył się w gąszcz niedostępny — jest bardzo czuły na wszelkie szmery i wymknie się niespostrzeżenie — często z pod nosa, nie mówiąc już o wypadku, gdy dostał nasz wiatr.

Ten ostatni wzgląd jest już mniej ważny, bo przedewszystkiem lew zawsze chce wiedzieć z kim ma do czynienia a rozróżnia dobrze obojętnego przechodnia od myśliwego w akcji. Polowanie tego rodzaju może mieć i inne, mniej pożądane epizody, jak to się zdarzyło jednemu ze znajomych mi Anglików, który idąc samopas za pomrukiem lwa poprzez gęste trawiska — znalazł się niespodzianie — jak biblijny Daniel — w lwiej pułapce. Wśród największej gęstwiny traw, sięgających mu powyżej głowy — nie widząc przed sobą ani na krok — otoczony nagle przez mruczące i warczące lwy, przeżył w tej sytuacji ciężki kwadransik, zanim zdążający po jego śladach a pogubieni wśród trawisk czarni jego towarzysze, zjawieniem się i nawoływaniem, lwów nie przepłoszyli.

Z moich tego rodzaju poszukiwań za lwami, które ze względu na niechętną postawę moich ludzi rzadko przedsiębrałem — nie wiele mógłbym powiedzieć.

Spotkanie się z lwami pozostawiłem ślepemu trafowi. I zdarzyło się, że pewnego dnia idąc krajem wypalonego stepu wzdłuż gąszczów podgórskich — wpadłem na tropy lwów.

Czy były świeże, czy dawniejsze — nie dało się sprawdzić. Odciski łap na popiołach, jakkolwiek dość wyraźne, nie dawały bliższego wyjaśnienia. Tropiciela nie miałem przy sobie, a moi czarni chłopcy, do których się o zdanie zwróciłem — nie zdradzili swej opinji, tak, że odniosłem wrażenie, że zajęcie się niemi w tej chwili nie miałoby sensu. Ponieważ prowadziły w stronę, dokąd zdążaliśmy — więc jakiś czas szliśmy po tropach. Gdy po pewnym czasie tropy zgubiły się w zaroślach, zawróciliśmy na step — kierując się ku lasowi palmowemu, który widniał w oddali.

Dookoła nagusienka — szara równina. Tylko w stronie zachodniej świeciła jakaś żółta plama; zapewne zeschłe trzciny na bagnie, które uszanował pożar.

Idąc wolnym krokiem — zbliżamy się do lasu. W tym czasie odkrywamy jakieś zwierzęta w stepie. Odległość wielka i odblask światła od leżących na ziemi popiołów — nie pozwala na razie rozeznać ich kształtów; — domyślam się, że to kozły wodne. Gdy się im przypatruję — dostrzegam, że między jednem a drugiem stadkiem — przesuwają się jakieś inne czworonogi, niższe, a dłuższe ciałem.

Zwracam się do moich chłopaków pytająco— i oni bowiem coś pilnie tam wypatrywali.

Zrazu wzruszyli tylko ramionami — a potem — jakby od niechcenia wycedzili: to zapewne „fisi" — hieny.

Brzmiało to dla mnie zbyt niepewnie.

— Hieny w jasny dzień na gołym stepie? — to rzadko się zdarza!

— Poczekam — pomyślałem — nadejdzie reszta ludzi — mam tam moją lunetę...

Gdy się zrównali z nami — każę sobie podać szkła.

— Oho! — ładne hieny! — przecież to lwy... Trzy sztuki wlokły się całkiem wolno w kierunku lasu. Co jeszcze dziwniejsze, że chociaż przeszły od jednego i drugiego stada antylop na odległość może stu kroków, te nie uciekły, ale na nie uważnie patrzyły.

— Teraz, albo nigdy, pomyślałem — na takim otwartym terenie, chyba ich już nigdy nie dostanę. Tylko zagrodzić im drogę do lasu...

Ponieważ szły od nas nie wprost, ale na ukos od strony lewej — daję więc rozkaz sześciu czarnym, aby — trzymając się w przyzwoitej odległości — tą stroną najśpieszniej zabiegali — i kierując się w stronę bagienka, tam się rozstawili. Gdyby lwy zechciały się w ich stronę kierować, mieli je krzykiem i ewentualnie strzałami, zawrócić.

Sam z dwoma chłopakami — zacząłem śpiesznie zachodzić od strony prawej. Chciałem im przeciąć drogę od lasu. Spodziewałem się, że tu na otwartej równinie, przy jakiem takiem szczęściu, dostanę którego z tej trójki na możliwy — chociażby — daleki strzał.

Plan jednak nie udał się.

Gdym w pośpiesznym marszu doszedł do lwów na odległość trzystu kroków — te, obejrzawszy się dyskretnie poza siebie — przeszły ze spokojnego chodu — w truchcik, a z chwilą gdy zacząłem podbiegać — w solidny galop. Zawracając trochę na lewo — natknęły na moją nagonkę, która zamiast je straszyć — jak było umówione — poczęła co sił wydzierać przed lwami.

Ta taktyka widocznie i lwom się nie podobała. Zatrzymawszy się chwilkę — zmieniły kierunek — uderzając już zdecydowanie w stronę bagna.

Chociaż wyciągałem nogi — o ile mogłem — na nic. Lwy coraz bardziej przyśpieszały truchta, a kiedy zbliżyły się do bagna — w galopie go dopadły.

W wyścigu tym wyprzedziły mię znowu o trzysta kroków. Jakkolwiek obszar bagna był nie wielki — może trzymorgowy — ale zato zarośnięty olbrzymiemi trzcinami. W tym gąszczu lwy przepadły jak kamień w wodzie.

Ani krzyki murzynów, których potem i prośbą i groźbą sprowadziłem w pobliże — ani oddanych do środka kilka strzałów, nie zdołały wyprzeć drapieżców z tej fortecy.

Nawet się nie odezwały.

Parę godzin czatowałem przy bagnie — nadaremnie. Lwy nie miały zamiaru stamtąd wyjść.

Chyba w nocy — a na ten moment znowu ja zgodzić się nie mogłem. Mając ludzi dostatecznie wystraszonych i kilkugodzinną drogę powrotną przed sobą — nie mogłem narażać się na ewentualne błądzenie po stepie — wśród ciemności...

I musiałem zostawić te bestje ich losowi...

— — — — — — — — — — —

Dwa lata później — prawie w tem samem miejscu — sprezentowała mi się cała lwia rodzina, z pięciu sztuk złożona. Szliśmy wtenczas stepem, nierówno wypalonym, pomiędzy kępami obsuszonych traw, a łysinami, na których wykluwała się gdzieniegdzie świeża trawa.

Las podmokły, który mieliśmy po naszej lewej stronie — przysłaniały nam często owe kępy.

W pewnem miejscu — znalazłszy kopiec termitów — zatrzymałem się. Chciałem tu zaczekać na resztę ludzi, którzy z powodu spiekoty wlekli się za mną zbyt powoli.

Wdrapywałem się właśnie na pagórek, aby zobaczyć gdzie są marudery — gdy mię coś tknęło, aby wpierw popatrzeć na las. Przebóg lwy!

Na wprost nas stało pięć okazów z wyciągniętemi w naszą stronę mordami. Wiatr szedł od nas — prawdopodobnie zwęszyły.

Odległość, jaka nas dzieliła, była dość znaczna, za wielka na strzał o efekcie dodatnim. Najwięcej szans do trafienia — dawał młody lew, który siedział jak pies na zadzie — odsłaniając w ten sposób całą swą pierś.

Ale i to nie skusiło mię do strzelania.

Odzwyczaiłem się strzelać do zwierzyny, jeśli nie miałem widoków, że ją dostanę w swoje ręce.

Za to dość długo obserwowałem te zwierzęta przez szkła.

Zainteresowanie się nami — było aż nadto widoczne. Stary lew — wybijający się staturą z pośród całej grupy — stał na boku — zaś trzy lwice i młody — może dwuletni lewek — obok siebie. Po jakimś czasie — gdy już może wszystko zbadał, o czem chciał wiedzieć — poszedł w stronę lwic. Pokręcił się tam chwilę — jakby się z niemi porozumiewał — powęszył trochę po ziemi, a popatrzywszy jeszcze raz bacznie w naszą stronę — wszedł do gąszczu, pociągając za sobą dwie lwice.

Trzecia lwica i lewek, ciągle w postawie siedzącej — patrzyły jeszcze w naszą stronę. Wreszcie i ta ostatnia, może mama ciekawego lewka — zawróciła ku zaroślom — zostawiając domniemanego synka — samego. Po kilkunastu sekundach poszedł i on ich śladami.

Obserwowany przezemnie stary samiec — posiadał bardzo marną grzywę, nie wyróżniającą się wiele barwą swą od reszty ciała. Wszystkie lwy były żółto-płowej maści.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

W kilka miesięcy później miałem znowu spotkanie z lwem, ale już wśród smutniejszych okoliczności.

Byłem wówczas w górach „Shire-highlands" wraz z kolegą Kazimierzem Stebleckim, którego namówiłem na krótką myśliwską wycieczkę.

Każdy z nas miał swoją partję ludzi, angażowanych przez każdego z nas osobno, którzy jako karawana, podlegali rozkazom kapitana, starego Antonia. Niestety Antonio był w mojej służbie; stąd ludzie Kazimierza niechętnie go słuchali. Wywoływało to ciągłe nieporozumienia między jedną a drugą partją, gdy przychodziło do urządzania obozu, zbierania paliwa na noc i t. p., a kłótnie były na porządku dziennym.

Już po trzecim dniu marszu widzieliśmy się zmuszeni rozejść się z Kazimierzem, aby utrzymać jaką taką między ludźmi dyscyplinę. Uradziliśmy, że każdy ze swoją partją pójdzie w inną stronę — a zejdziemy się znowu po tygodniu. Punktem zbornym miała być jakaś wioszczyna w pobliżu rzeki Ruo, o której tylko czarni nasi wiedzieli.

Tak też zrobiliśmy.

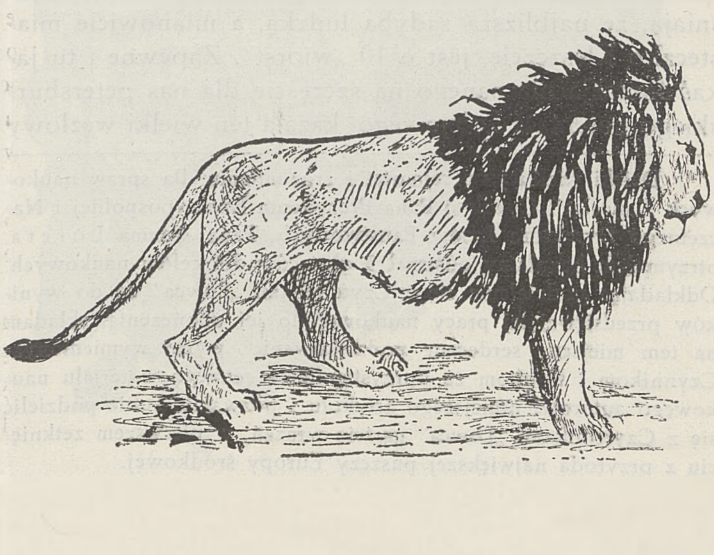
Czwartego dnia rankiem — wyszedłem pierwszy, kierując się ku wschodowi — potem Kazimierz — z zamiarem dostania się na najbliższe, stepu „Elephant-marshes" — stoki górskie.

Przypadek zdarzył, że już trzeciego dnia, zeszliśmy się niespodzianie.

Tego dnia K. wyszedłszy rano z obozu — wpadł na trop słonia. Idąc za nim, zawrócił ku wschodowi. Około południa, gdy szli grzbietem wysokiego pagórka — dostrzegli daleko w dolinie dymy ognisk, a wysłani wywiadowcy przynieśli mu wiadomość, że tam stanął na popas „Kangremu"*. Porzucił więc trop i przyszedł do mnie.

(C. d. n.)

* Kangremu — moja nazwa — dana mi przez Kafrów nad Zambezą.



KAZIMIERZ WODZICKI

W Białowieży — ze strzelbą, lupą i objektywem*)

Dziwny to kraj, może tylko dla nas Małopolan, który oglądamy z okien pociągu unoszącego nas z dużą chyżością w stronę Siedlec i Białowieży. Ale kraj przedewszystkiem dziwnie smutny, może bardziej niż którykolwiek inny krajobraz polski w to późne przedwiośnie kwietniowe: rzadkie, niewielkie wioski, małe a mizerne laski, zrzadka przemykający się po arcywyboistej drodze ludzie — wszystko pełne jakby ciszy jeszcze zimowej. Mimowoli ma się uczucie, o ile cięższym był tu uścisk macochy zimy, w kleszczach swych uporzywie dotąd trzymający oziminy, nawet mech na mokrawych, torfiastych łąkach wygląda bez humoru, osowiały swoją szarą, jeszcze zimową zielenią. Daleko mu do tej fantazji, z jaką na całem naszem Podkarpaciu, bezpośrednio po zniknięciu śniegów, próbuje się zielenić i nam już rychłe ciepło z wiosną obiecywać.

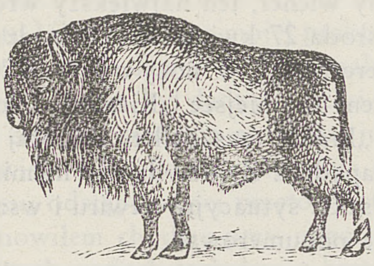
Od Siedlec jednak krajobraz wybitnie się zmienia. Może dlatego, że stacje stają się coraz rzadsze, pociąg osiąga tempo prawie pośpiesznego pociągu, z tą różnicą, że wbiegłszy po kilku kwadransach biegu na, rosyjskim sposobem, daleko od wszelkiej sadyby ludzkiej stojącą stacyjkę, długo na niej sapie i wypoczywa. Pomiędzy postojami pociągu przestrzenie pokrywają się coraz większemi połaciami lasu. Snać zbliżamy się do innego kraju, kraju, w którym las jest tym pierwotnym wypływem naturalnego układu sił w przyrodzie, najbujniejszą jej kulturą, od której odbijają pola o dziwnie szarych, ledwie widzialnych oziminach.

Wjeżdżamy do Czeremchy. Próżno jednak podróżny w czasie dość długiego postoju rozgląda się za tą upojną swym zapachem rośliną; gorzej, bo oko poza kilku stereotypowemi domkami kolejowemi nie widzi nic poza mszarem pokrytym zrzadka usianemi drzewami, pełnemi jakiejś melancholji i opuszczenia, jak ta wielka węzłowa stacja o nowym wspaniałym dworcu, którego pozazdrościćby mogło niejedno nasze wojewódzkie miasto. Uprzejmi towarzysze (w III klasie w jej wspólnym przedziale istnieje zawsze coś w postaci komuny), objaśniają, że najbliższa sadyba ludzka, a mianowicie miasteczko Kleszczele, jest o 10 „wiorst". Zapewne i tu jakaś fantazja nieznanego na szczęście dla nas petersburskiego potentata kolejowego kazała ten wielki węzłowy dworzec budować w lesie naprzekór jemu i ludziom miejscowym.

Lecz oto wyjeżdżając ze stacji, wpadamy w puszczę białowieską, którą jechać będziemy z małemi tylko przerwami aż do stacji Swisłocz, celu podróży. Rzut oka na mapę poucza, iż linja Warszawa — Lida przecina jedynie mały kawałek puszczy, lecz i tych kilkadziesiąt kilometrów przejechanych wśród lasu robi duże wrażenie. Oko zmęczone wciąż przesuwającym się tym samym krajobrazem leśnym, z radością wypatruje niewielkie łąki i polany, by trochę wypocząć. Tymczasem pociąg mija Hajnówkę ze swym rozległym przemysłem leśnym, niemieckiej spuściźnie, którą rząd nasz prowadzi dalej, przerabiając, sądząc z mas nagromadzonego drzewa, fantastyczne połacie nietkniętych dotąd partyj puszczy, wreszcie wtacza się na małą stacyjkę Swisłocz, chwilowy cel podróży. Uprzejmy i gościnny nadleśniczy inż. K. Gąsior, zaopatrzył kałamaszkę (trudno innem mianem określić rodzaj kolebkowatego, niskiego pojazdu) w futra i baranice, tak, że zaopatrzony dostatecznie, ruszam tym dziwnym zaprzęgiem jednokonnym ze stereotypową, ciężką arbą (rodzaj płaskiego półkola ponad szyją konia) w drogę. Ma ona wynosić coś 23 „wiorst", ale podobno „z hakiem", co jak mnie potem autochtoni objaśniali, może być dwa, a czasem i 10 km odległości w tym kraju ubogim zarówno w szosy, jak i w koleje, nie odgrywa podobnie jak czas, większej roli. Mijamy różne wioski o dziwnych nazwach, w których słowo licho, alteruje ze słowem dobra. Może i tak jest, rzecz zapewne ciekawa dla etnologa. Mają jednak te wszystkie wsie coś wspólnego ze sobą; domy wybudowane naogół wzdłuż jednej ulicy, czasem z przykrym brukiem z „kocich łbów", pełnej wałęsających się na pozór zupełnie bezpańskich świń o dziczych ryjach i ostrych, długich grzbietach, brudnych i mizernych dzieci, wreszcie gniazd bocianich, za któremi dzięki zbytniej popędliwości niektórych towarzyszy z pod znaku św. Huberta, na Zachodzie, długo się trzeba oglądać. Nie wiem, czy w tych spostrzeżeniach z „lotu" bryczki (tempo 4 km na godzinę) jest pewna jakaś współzależność, ale takie były moje pierwsze wrażenia. Zresztą w tych wioskach panowała dziwna cisza, mimo przedwiośnianego pogodnego wieczoru, jakby osowiałość wśród brodatych krajowców, cicho w postołach się przesuwających. Mimowoli i tu w zapadłych tych wioskach czuje się kryzys, łatwy zresztą do wytłumaczenia, gdy się przyglądnie ubogiej, mokrej glebie wąskich pól a z drugiej, gdy się dowiedziałem, że w r. b. poręby w lasach państwowych, ze względu na dumping sowiecki, zostały prawie zupełnie wstrzymane. Szczególniej odnosi się to do wiosek, sąsiadujących z puszczą swisłocką, do której wreszcie wjeżdżamy. Spory ten kompleks, składający się z trzech nadleśnictw o łącznym obszarze około 23 tysięcy ha, stanowi północno-wschodnią część puszczy białowieskiej, od której jest oddzielony strugą Narwi. Stanowił ongiś schedę rodziny Tyszkiewiczów, do której obecnie jako majątek skonfiskowany za udział

*) Dzięki wielkiej uprzejmości i zrozumieniu dla spraw naukowych Kancelarji Cywilnej Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnego Dyrektora Lasów Państwowych, Pana Adama Loreta, otrzymałem bezpłatny odstrzał 3 głuszców dla celów naukowych. Odkładając podzielenie się z Czytelnikami „Łowca" co do wyników przedsięwziętej pracy naukowej do jej ukończenia, składam na tem miejscu serdeczne podziękowanie wyżej wymienionym Czynnikom i Osobom za uprzystępnienie cennego materjału naukowego autorowi niniejszego artykułu i pozwalam sobie podzielić się z Czytelnikami „Łowca" garścią wrażeń, w pierwszem zetknięciu z przyrodą największej puszczy Europy środkowej.

w powstaniu 1830/31, ma obecnie, po długoletnim procesie powrócić. Dlatego też wyręby są zupełnie wstrzymane i ludność chwilowo pozbawiona naturalnego swojego źródła zarobkowania. Wśród ciemnej nocy mijamy po 5 godzinnej drodze Browsk, mikroskopijną osadę z kilku chat się składającą, wśród tysięcy hektarów lasu i tupot kopyt końskich na długim, drewnianym moście zwraca uwagę na nurty wezbranej Narwi, rozlanej obecnie na łąkach blisko ½ km szerokości. Widok, szczególniej w bladem świetle pierwszej fazy księżyca, pełen uroku; olbrzymia tafla wody gładziutkiej przy spokojnej pogodzie a na niej w odległości kilometrowej jedno od drugiego rozsiane płomyki wskazują, że „pasy" czyli spław drzewa Narwią poprzez Bug i Wisłę do Gdańska, jest już w pełni. (C. d. n)



A GROETSCHEL

Kilka słów w sprawie ochrony słonki

Na podstawie art. 49 ustawy łowieckiej, z dnia 3/XII 1927 r., słonka doznaje ochrony od 15 V. do 15 VIII.

Przy normalnej, niespóźnionej wiośnie, pierwsze słonki pojawiają się u nas na nizinach około 22 marca — na Podkarpaciu około 26 marca. Najintensywniejszy zaś ciąg bywa zwyczajnie między 2 a 10 kwietnia. — W drugiej połowie kwietnia ciąg słabnie coraz bardziej, a zwyczajnie koło 20 kwietnia, widuje się już tylko pojedyńcze sztuki. Rzecz prosta, nie mam tu na myśli tych lasów i okolic, gdzie słonka pozostaje przez lato — gdyż tam ciąg trwa dalej. W rozległych lasach Podkarpacia, ciąg nie ustaje przez maj i czerwiec, aż do połowy lipca — tu bowiem słonka gnieździ się bardzo licznie a samce szepcąc i chrapiąc, krążą rankami i wieczorami, zupełnie jak w chwilach pierwszej wiosny.

W roku obecnym wskutek bardzo opóźnionej wiosny na Podkarpaciu (powiat Dolina), zauważono pierwszą słonkę dopiero 5 kwietnia. Na ogół ciąg tegoroczny jest w porównaniu z latami ubiegłemi, a zwłaszcza z rokiem 1931, bardzo marny — co zresztą wobec fatalnej wiosny było do przewidzenia. Opóźniona wiosna bowiem jest przyczyną, że słonki, które kraj nasz przebywają, jako etap podróży na północ, przeciągają znacznie szybciej, niż w czasie normalnej wiosny, wówczas bowiem na dłużej u nas się zatrzymują.

W drugiej połowie kwietnia widuje się przeważnie tylko słonki, które zamierzają u nas lato spędzić.

Z tych przyczyn, byłoby wskazanem od 16-go wzgl. 20-go kwietnia zaprzestać łowów na ciągu. W przeciwnym bowiem razie, będziemy wybijać swoje własne, w rewirze się gnieżdżące słonki i to w czasie lęgu, a na to przecież ten uroczy ptak chyba wcale nie zasługuje.

Między 18-tym a 25-tym kwietnia spotykałem na Podkarpaciu słonki siedzące na gnieździe.

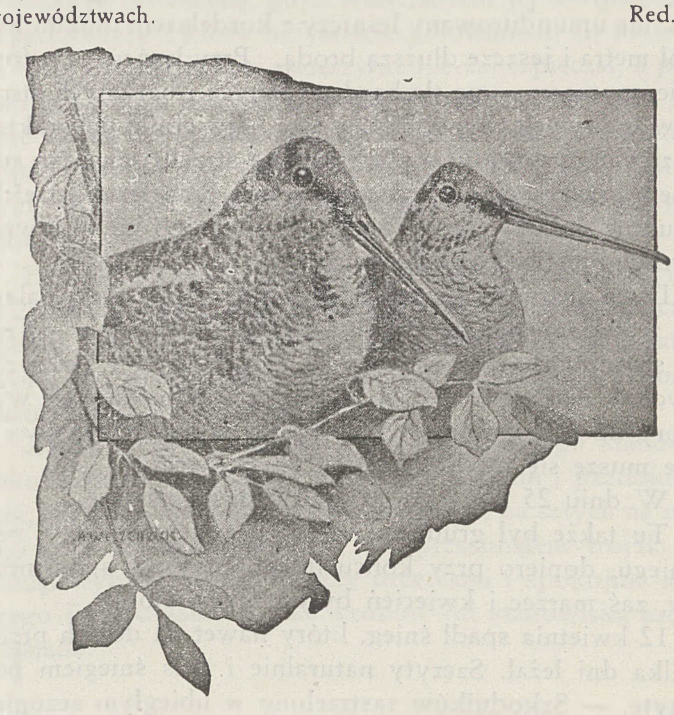
Dlaczego nowa ustawa łowiecka nie bierze zupełnie pod uwagę powyższego momentu — nie jest mi wiadomem.

W każdym razie szybkiej zmiany odnośnej ustawy, trudno się spodziewać, możnaby wprawdzie na wniosek Małopolskiego Towarzystwa łowieckiego, przeprowadzić zmianę czasu ochronnego słonki, bądź w drodze rozporządzenia Ministerstwa rolnictwa, bądź odnośnego Województwa.

Zanim jednak to się stanie, wystarczyłaby dobra wola ogółu Małopolskich Myśliwych, gdyby zechcieli zaniechać polowania na słonki po 16-tym wzgl. 20-tym kwietnia. Nie będzie to zbyt wielka ofiara, albowiem do tego terminu zwłaszcza w latach o normalnej wiośnie będzie dość czasu, by się nacieszyć przepięknym widokiem długodziobów, chrapiących wśród wieczornego mroku budzącej się wiosny, względnie by celnemi strzałami strącić kilku upojonych miłosnym lotem zalotników.

Nie pomnę ni numeru „Łowca", ani też roku, w którym Małopolskie Towarzystwo Łowieckie apelowało do ogółu myśliwych, by zechcieli się wstrzymać z polowaniem na słonki w czasie od 16-go kwietnia do 30-go sierpnia, wiem jednak, że odezwa taka ogłoszoną była. Możnaby przeto i teraz wprowadzić podobny czas ochronny dla tego miłego i tyle powabu mającego ptaka myśliwskiego, a to bez względu na przepisy ustawy, wszakże i dzik — mimo, iż nie cieszy się wcale opieką prawa, przez żadnego dbającego choć nieco o swą opinię myśliwego, w porze rui i karmienia młodych, nie bywa strzelany.

Mamy nadzieję, że spodziewana nowelizacja prawa łowieckiego przyśpieszy początek terminu ochronnego słonki, w południowych województwach. Red.



Dr. MICHAŁ MOYSA ROSOCHACKI

Toki styryjskie w roku 1932

Motto: „Kto nie doświadczał lub nie doznawał czaru, jaki jest w tych wrażeniach, kto nie widział obrazów, jakie dają toki, i komu nie bije serce na ich wspomnienie, ten nie zaznał najwyższych, najwytworniejszych obrazów, jakie myśliwemu dać może knieja".

Stanisław Zaborowski — „W sercu knici".

Tych dni kilka, taka zmiana życia, otoczenia i ludzi, stanowi konieczny dla dalszej pracy okres wypoczynku. Prawie przymusowo uspokajają się nerwy stargane nietyle pracą zawodową — aczkolwiek żmudną — ile atmosferą niepokoju i walki o utrzymanie warsztatu pracy, zagrożonego w swej egzystencji.

Szukając tego wytchnienia, wyjeżdżam w tym roku znów na dni kilka na toki w góry styryjskie. Puste wagony pociągu pośpiesznego Bukareszt — Wiedeń, sympatyczna uprzejmość konduktorów i niezwykle wygodna jazda, to niestety najlepszy sprawdzian kryzysu ekonomicznego całego świata.

Austrja a z nią Wiedeń, to też domeny nędzy ekonomicznej, ciężkiej, bo prawie beznadziejnej. Ulice ongiś najruchliwsze, dziś prawie puste, sklepy śródmieścia — choć nęcą gustownemi wystawami — bez klijentów; tylko tanie przyjemności, jak kina, kawiarnie i t. p., znajdują jeszcze licznych zwolenników.

W poszukiwaniu reminiscencyj myśliwskich, zachodzę do teatru. Architektura i wszystkie dekoracje w najdrobniejszych szczegółach o charakterze alpejsko-myśliwskim. Cały personal teatralny w strojach alpejskich, nawet kapelmistrz bez kurtki i kamizelki, w spodniach krótkich, skórzanych, w białej koszuli z zielonemi szelkami! Sztuka sama grana prawie już 300 razy, trochę naiwna, trochę sentymentalna, ożywiona ładną muzyką i dowcipami. Z motywów myśliwskich występuje bajecznie umundurowany leśniczy z kordelasem długim na pół metra i jeszcze dłuższą brodą. Przy końcu — w formie apoteozy — na tle bardzo ładnych i barwnych strojów ludowych, wchodzi na scenę najwierniej ucharakteryzowany, w stroju myśliwskim ze strzelbą znanym ruchem przez ramię przerzuconą, cesarz Franciszek Józef I. Huczne oklaski, nastrój ogólny na scenie i na widowni, przedwojenno-monarchistyczny.

Dużo możnaby jeszcze opowiadać o olbrzymiej palarni teatralnej, historycznych wieńcach, które tam wiszą, o stosunkach ekonomicznych, handlowych i politycznych w Austrji (dziś t. j. 24 IV. 1932 odbywają się wybory do rad gminnych i miejskich w całem państwie), ale muszę się trzymać tematu głuszcowego.

W dniu 25 kwietnia przyjeżdżam na miejsce.

Tu także był grudzień i styczeń zupełnie ciepły, bez śniegu, dopiero przy końcu lutego przyszły silne mrozy, zaś marzec i kwiecień były zimne i słotne.

12 kwietnia spadł śnieg, który nawet na dołach przez kilka dni leżał. Szczyty naturalnie i dziś śniegiem pokryte. — Szkodników zastrzelono w ubiegłym sezonie: 6 lisów, 5 kun leśnych, w tem 3 młode, złapane żywe, 1 borsuka, kilka jastrzębi i 2 koty — w wielkiej tajemnicy. — Znaleziono 3 cietrzewie (koguty) zajedzone przez kuny. Na wysłuchy z powodu śniegu i zimna ledwie w ostatnich dniach chodzić zaczęto. Po kilku dniach pobytu stwierdziłem osobiście, że stan głuszców i cietrzewi nie uległ poważniejszej zmianie w stosunku do roku 1931-szego.

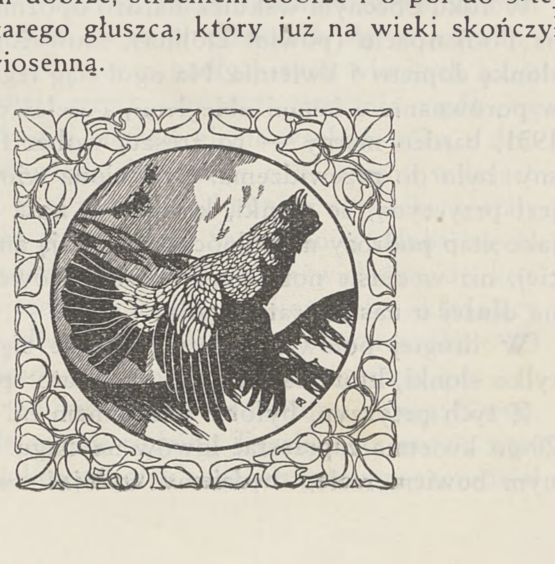
Jednego cietrzewia zastrzelił za mojem pozwoleniem powiatowy inspektor skarbowy (!) Zajęcy padło 16, gdyż z powodu śniegu nie urządzano polowań, rogaczy na podchodach letnich ubito 10, zaś siut na polowaniach gremjalnych 20, wobec 50 z roku 1931.

Dwa pierwsze podchody a to 26 kwietnia w nocy i wieczór na zapad, nie dały rezultatu. Sprawił to bezsprzecznie silny wicher, ten największy wróg toków.

Natomiast środa 27 kwietnia, to jest dzień następny, był więcej interesujący: W nocy o pół do 3-ciej, wychodzę ze strzelcem na miejsce „Riegler". Noc jasna, pogodna, cicha. „Franzl" zasadził tu wczoraj 4 głuszce na wieczornym zapadzie. Z prawdziwie niemiecką dokładnością, zrobił szkic sytuacyjny rewiru i wszystkie 4 głuszce dokładnie ponumerował.

Po godzinnym, forsownym marszu pod górę, słyszę dokładnie jak wszystkie 4 koguty grają. Najbliższego od nas głuszca nr. 1, zaskakuję wprzód. Głuszec gra nieszczególnie, gdyż często przerywa. Wreszcie jestem niedaleko. Jeszcze ciemno. Z początku nie widzę nic, wreszcie spostrzegam tylko szyję i głowę, gdyż głuszec zakryty gałęziami świerka. Głuszec grę przerywa, zdaje się, że nas zoczył, za chwilę odciągnie. Strzelam szybko — głuszec zbarczony, odciąga w dół. Na dole młoda, gęsta leszczyna i jeszcze niżej świerki bardzo gęste. Najdokładniejsze poszukiwania nie dały rezultatu. Wogóle tu podnieść postrzelonego głuszca, to prawie wykluczone.

Już trochę jaśniej, chociaż do dnia jeszcze daleko. Jest dopiero godzina 4-ta. Nie tracąc czasu, zaskakuję głuszca nr. 2. Tymczasem kogut nr. 3 przestał grać, natomiast dopiero w drodze powrotnej, słyszę jeszcze kilka razy jego kłapanie. Najlepiej gra głuszec nr. 4, jednak bardzo wcześnie, bo już o godz. 4-tej zapadł na ziemię. Zaskoczyłem dobrze, strzeliłem dobrze i o pół do 5-tej podnoszę starego głuszca, który już na wieki skończył swą pieśń wiosenną.



A. JAKUBOWICZ

O przesądach myśliwskich

Dużo pisano już o przesądach myśliwskich i roztrząsano kwestje zabobonów. Dla mnie sprawa ta przedstawia się zupełnie jasno, gdyż nastrój danego myśliwego odgrywa decydującą rolę. Jeżeli ktoś wierzy w przesądy, nic dziwnego, że po przejściu baby z próżnemi konewkami, czy też spotkaniu księdza, ulega taki myśliwy depresji, jest odrazu podenerwowany i w takim nastroju wjeżdża do kniei, gdzie popełnia szereg błędów, które w rezultacie składają się na ujemny wynik polowania, a tem samem wzmacniają wiarę w przesądy.

Zdażają się jednak fakty, które naprawdę mają pozór jakiegoś związku złej czy dobrej wróżby z rezultatem polowania.

Opowiem tu kilka zdażeń z mojej praktyki łowieckiej. Zeszłej zimy wyjeżdżaliśmy w doskonałych humorach na polowanie. Dzień był ładny i dziki otropione. — W ostatniej chwili wsiadania na sanie, już po wylosowaniu stanowisk, zdecydowała się moja żona pojechać z nami do lasu; odstąpiłem jej przeto swoje stanowisko, a sam postanowiłem chodzić przy nagonce.

Na pierwszych saniach jechałem z bratem, gdyż obaj byliśmy gospodarzami tej kniei.

Zaraz za bramą spotkaliśmy uśmiechniętego, starego żydka z młyna, który uchylając czapki, pozdrowił nas słowami: „daj Boże szczęście panom". Mój brat odrazu się zirytował, a ja będąc w doskonałym humorze, powiedziałem, że to życzenie odnosi się wyłącznie do niego, gdyż żydek tylko na niego patrzył i do niego się uśmiechał.

W szybkiem tempie minęliśmy wieś i stanęliśmy przed leśniczówką, gdzie leśniczy zameldował w czterech miotach dziki. Raport był zupełnie zgodny z prawdą. W każdym miocie myśliwi strzelali do dzików, a niektórzy mieli nawet po 3 spotkania.

Żona moja stojąc na stanowiskach dla mnie przeznaczonych, strzelała do dwóch dzików, miała jednak nieodpowiednią broń i temu należy przypisać negatywny rezultat jej strzałów.

Ja chodziłem przy nagonce, więc nie miałem pretensji do dzików, żeby na mnie wychodziły. Dopiero w czwartym miocie, stanąłem na linji, z której nagonka ruszała ku myśliwym, gdyż w tym miocie dziki czasami przerywały się przez nagonkę i wracały wstecz. Przypuszczenia moje okazały się trafne, gdyż zaraz po pierwszych strzałach na linji, usłyszałem krzyk w nagonce, co oczywiście oznaczało przerwanie się dzików.

Za chwilę wyszedł na mnie lekkim truchtem odyniec na dogodny strzał i padł w ogniu, a w kilkanaście sekund po nim tym samym śladem, wyszedł wycinek, który podzielił los swego starszego kuzyna.

Brat mój jednak był jedynym myśliwym wśród 14-tu uczestników, który przez cały dzień nie złożył się do dzika.

Podobne zdarzenie spotkało i mnie. W czasie wojny światowej, gospodarowałem w Młyniskach, w powiecie żydaczowskim. Razu jednego zostałem zaproszony na polowanie do Balicz. Zaproszenie to ucieszyło mnie bardzo, gdyż knieja ta obfitowała w dziki.

W dniu wyjazdu, jeden ze znajomych oficerów, nie znający się na myślistwie, w najlepszej wierze życzył mi serdecznie szczęścia. Na polowanie jechałem, myśląc ustawicznie o tych życzeniach i tłumacząc sobie, że to niema żadnego znaczenia.

W kniei w pierwszym miocie dostałem miejsce obok bardzo dobrego strzelca p. S. O. Zaraz też postanowiłem sobie, że muszę dobrze i szybko strzelać, żeby mię sąsiad nie ubiegł, i to było przyczyną mego niepowodzenia.

W chwilę po ruszeniu nagonki zobaczyłem w rzadkiej drągowinie idącego na mnie wycinka. Dopuściłem go na 50 kroków i strzeliłem, niestety kula ominęła cel; kiedy się złożyłem do ponownego strzału, dzik padł powalony kulą mego sąsiada.

W dniu tym miałem jeszcze jedno spotkanie z warchlakami, które fatalnie pochybiałem.

Przed wojną polowałem często w gronie myśliwych z Tłumacza, którzy mieli tereny dzierżawione od gmin i od właścicieli nie zajmujących się łowiectwem.

Było to w piękny jesienny dzień; wyjeżdżałem na to polowanie pełen radości, raz dlatego, że byłem młody, a powtóre, nie było w owych czasach progresywnych podatków, Kas Chorych i krótkoterminowych pożyczek.

Po drodze spotkałem ładną wiejską dziewczynę, czerpiącą wiadrem wodę z potoka, co umożliwiło mi spojrzeć na kolanko.

Na miejscu zbornem zastałem już całe grono myśliwych w doskonałych humorach, tylko jeden pan J. S. był skwaszony, gdyż oprócz jakichś osobistych zmartwień, przeszedł mu ksiądz drogę.

Los chciał, że staliśmy obok siebie. Knieja nie obfitowała w zwierzynę, gdyż właścicielem jej był pan „od naszej wiary", który oczywiście polowaniem się nie zajmował, opieki żadnej zwierzynie nie zabezpieczał, a prawa polowania udzielał chętnie, słowami: „niech pan sobie zlapie". Zdażało się jednak, że w jesieni było tam dużo słonek i lisy chętnie tam przebywały, gdyż knieja była położona nad Dniestrem, a skalisty teren sprzyjał rozmnoży lisów.

Po kilku miotach, w których miałem na rozkładzie lisa i 2 słonki, sąsiad mój, który faktycznie miał dotychczas pecha, tak się zdegustował, że usiadł podczas trwania gonu na ziemi, oparł się plecami o drzewo, odłożył broń i zaczął czyścić paznokcie.

Zacząłem więc bacznie obserwować i jego stanowisko. I kiedy mój sąsiad zajęty pilniczkiem i paznokciami, nie zwraca uwagi na gon, widzę jak na sztych na niego idzie wolnym krokiem lis; przesunąłem trojak na kulę, wybrałem lukę między drzewami i spokojnie idącego lisa powaliłem o 20 kroków od stanowiska mego sąsiada.

Po moim strzale sąsiad czuł się pokrzywdzony; trwało to jednak bardzo krótko, gdyż sam uznał swj błąd i w najlepszej zgodzie rozstaliśmy się po polowaniu, które w rezultacie nie dało speszonemu sąsiadowi nic, a mnie po dobrej wróżbie 2 lisy i 3 słonki.

Wiele jeszcze takich przykładów mógłbym przytoczyć, ale nie chcę zabierać miejsca i nudzić czytelników.



Conseil International de la Chasse

Sesja II-ga.

Międzynarodowa cyrkulacja broni myśliwskiej.

Referat wygłoszony przez P. Maxime Ducrocq, Prezydenta M. Z. Ł.

Wwóz broni myśliwskiej, pochodzenia obcego, z przeznaczeniem późniejszego jej wywozu, podlega bardzo różnemu uregulowaniu.

W niektórych państwach jest on zupełnie swobodny, w innych jest zasadniczo wzbroniony i może być tylko w poszczególnych wypadkach uzyskany u władz czuwających nad bezpieczeństwem państwa. Czasem czynią te państwa różnice między bronią o lufach gładkich, a bronią o lufach ciągniętych. Zdarza się też, że zezwolenia są udzielane więcej lub mniej liberalnie zależnie od sytuacji politycznej w państwie lub zależnie od narodowości osoby broń wwożącej.

Przeważna ilość państw wymaga wystawienia konsygnacji w chwili wwozu w komorze celnej, a nawet opłaty cła, tak, jakby zapowiedziany wywóz nie miał nastąpić, z możnością zwrotu cła, skoro broń zostanie wywieziona w okresie czasu przewidzianym w regulaminie celnym.

Nieznaczna ilość państw domaga się od cudzoziemców zapłaty taksy pobytowej za broń, jakkolwiek nie żąda się tego od reszty bagażu i od ubrań używanych.

W ogólności ostrożności przestrzegane na granicach są dyktowane jakby przez nieufność względem cudzoziemców, gdyż policja dopatruje się w nich możliwych nieprzyjaciół ustalonego porządku prawnego, a fiskus ewentualnych przemytników, którzyby mogli pozostawić w kraju przedmioty podlegające ocleniu, mimo przyrzeczenia ich wywozu.

Jednak ludzie, którzy podróżują, by polować w obcych krajach, nie są w ogromnie przeważającej ilości wypadków ani rewolucjonistami, ani przemytnikami.

Liczba nadużyć mogących zajść z powodu regulaminów liberalnych jest tak znikomą, że godzi się zapytać czy przewidywanie szkód mogących się zdarzyć w bezpieczeństwie lub w finansach danego państwa, usprawiedliwia koszta urządzeń mających to niebezpieczeństwo uchylić.

Jakkolwiekby było, dla mnie jest pewnem, że wszystkie narody mogłyby bez żadnego wahania zezwolić posiadaczom broni myśliwskiej na swobodną jej cyrkulację, w wypadkach, gdy obietnica jej wywiezienia z powrotem do kraju, skąd pochodzi, będzie sankcjonowana moralnie przez jakąś poważną organizację, któraby ze swej strony znowu domagała się zaręczenia lojalności posiadacza przez osoby absolutnie pewne.

Zdaje mi się, że M. Z. Ł. wskutek swego składu osób, swych stosunków i swego wyjątkowego stanowiska w świecie myśliwskim, byłby właśnie organizacją najbardziej kwalifikowaną do spełnienia takiej misji.

Na podanie doń skierowane przy poparciu dwóch pewnych sygnatarjuszy (prowizorycznie możnaby żądać, by to byli dwaj członkowie M. Z. Ł.), wydawałby Związek posiadaczowi broni kartę, zaopatrzoną w jego fotografję i wymieniającą jego imię, nazwisko, adres i opis broni, tudzież wskazanie kraju, gdzie się ona znajduje i dokąd ma być w wypadku wwozu następnie z powrotem wywieziona.

Posiadacz karty zobowiązywałby się w swem podaniu wobec M. Z. Ł., że na każde jego żądanie wykaże przepisanym certyfikatem, że broń kartą objęta nie opuściła kraju swego pochodzenia lub doń wróciła.

Karta taka zawierałaby, prócz wspomnianych wyżej wskazówek, jeszcze klauzulę, w językach oficjalnych wszystkich państw do Związku należących, tego brzmienia:

„Broń powyżej opisana używana jest wyłącznie do polowania przez posiadacza tej karty, a gdy ten zobowiązał się, iż broń tę po wywiezieniu odstawi z powrotem do kraju, skąd ona pochodzi, M. Z. Ł. ma zaszczyt upraszać władze celne państw, przez które broń ta przechodzić będzie, by zezwoliły na swobodny jej przewóz bez dalszych formalności i spisywania konsygnacji".

Projekt wzoru takiej karty dołączyłem do niniejszego referatu, a mych kolegów, którzyby się chcieli tego podjąć, odnośnie do państw przez nich reprezentowanych, upraszam:

1) by przetłumaczyli klauzulę powyżej przytoczoną na język swego państwa,

2) by przedłożyli wzór karty swemu rządowi i zapewnili się czy Związek może w tem państwie liczyć na przychylne traktowanie swej prośby.

W przypuszczeniu, że zgoda znacznej ilości państw zostanie rychło wyjednaną, sądzę, że kartę możnaby wkrótce wydrukować i wydawać ją interesowanym nawet już przed następną sesją Związku.

Pozwalam sobie wskazać, że wielkie trudności powstałyby dla redakcji takiej karty i dla jej używania ze zmian jej szczegółów dla pojedyńczych państw, które ją przyjmą w zasadzie. Tylko przystąpienie bez zastrzeżeń jest w stanie rozwiązać szybko problem.

Sądzę zresztą, że udało mi się wykazać, że owo przystąpienie, które usunie we wszystkich krajach formalności bezużyteczne, a noszące pozory szykany, choćby się zresztą do nich nie uprzedzać, powinno być przez państwa uważane za rzecz korzystną. *(tłum. A. Sander)*

Wzoru karty, przez referenta proponowanego, nie podajemy dla oszczędności miejsca, tem bardziej, że czytelnikom naszym wystarczy wszak jej opis w referacie podany. Zauważamy tylko, że karta taka będzie chyba musiała mieć wygląd książeczki, skoro referent żąda zamieszczenia w niej klauzuli polecającej, w językach wszystkich państw do Związku należących, a tych jest dziś zwyż pięćdziesiąt, używających conajmniej 30-stu różnych języków.



KORESPONDENCJE

Skole, 16 maja 1932 r.

Miniona zima — wskutek ogromnych w górach opadów śnieżnych — przyniosła dla płowej zwierzyny klęskę. — Podczas najsroższej od szeregu lat zimy, w r. 1928/29 — zanotowano w tutejszych rewirach, będących pod ścisłym dozorem zarządów, zaledwie 15—20% tego ubytku, jaki mimo opieki nad zwierzyną, dokarmiania i rozwożenia siana, bieżąca zima spowodowała.

Wskutek niebywałych pokładów śniegu, nieraz kilkumetrowych nawet, w niższych odcinkach wirchów była płowa zwierzyna pozbawiona dostępu do takich miejsc, które przez naturalną swoją osłonę dawały jej suche i ciepłe legowiska.

Schodziła przeważnie do potoków, gdzie brnęła głęboko w stosunkowo znacznie miększych śniegach, pozbawiona możności dotarcia do ziemi i przysposobienia sobie suchych, choć częściowo z śniegu oczyszczonych legowisk.

Dlatego też mimo dostarczanej karmy, ginęły w pobliżu stogów siana, dobrze wykarmione łanie i cielęta, a przeprowadzane sekcje wykazywały u wszystkich sztuk zapalenie płuc, co spowodował właśnie brak suchych i cieplejszych legowisk.

W Skolszczyźnie na terenach f-my Br. Groedlów, obejmujących z Kruszelnicą i Korczynem około 40.000 ha, — zatem w rewirach, w których zarządy sumiennie opiekowały się zwierzyną, rozwożąc dzień w dzień karmę — padło ogółem w zimie b .r. 169 sztuk jeleni i 55 sarn; niemal 5—6 razy tyle, ile padło podczas pamiętnej, mroźnej zimy w r. 1929: jeleni samców 38 w tem łownych łań 50, cieląt 81, rogaczy 10, sarn (kóz) 45.

Ubytek powyższy wobec ogólnego stanu ilościowego jeleni i sarn w Skolszczyźnie nie przedstawia się jeszcze katastrofalnie, niewątpliwie jednak w stosunku do ubiegłych zim, jest ogromnie wysoki.

Gorzej znacznie przedstawia się ubytek w sąsiadujących rewirach, przynależnych do powiatu Turczańskiego, dawniej Liebigowskich, obecnie należących do f-my Guduli (Śląskie Tow.), które swoją opiekę i starania stosuje do eksploatacji drzewa, do rozsyłania zaproszeń na rykowisko i toki, natomiast o opiekę nad zwierzyną płową, karmienie jej i tępienie kłusownictwa w rewirach sąsiadujących z Skolszczyzną (Butywlą — Hutą Korost) wcale się nie troszczy, pozostawiając ją na łasce losu i band kłusowniczych.

Trudno mi uwierzyć, w ogólnie rozszerzaną tutaj wiadomość, że tylko w jednym rewirze Majdańskim, spłynęło potokami 150 nieżywych, w tem 100 łownych jeleni.

Województwo lwowskie powinno wglądnąć w te stosunki, które dziś zagrażają katastrofalnie także sąsiadującym rewirom, bo jak wiadomo, zwierzyna nie uznaje granic i często przechodzi z Turczańskich do Skolskich rewirów i na odwrót.

Co do kłusownictwa i strat, zimą spowodowanych, mógłby dostarczyć pewnych informacyj województwu lwowskiemu Zarząd rewiru w Butywli.

Jeszcze jedno następstwo bieżącej zimy: Prawie 50% jeleni łownych nie zrzuciło zeszłorocznych wieńców, wskutek wyczerpania i osłabienia organizmów.

Na koniec jeden kwiatek z tegorocznych toków.

Do Majdanu, względnie rewirów sąsiadujących z Butywlą, był zaproszony jakiś gość z Warszawy, w kwietniu b. r. Pierwszego dnia zastrzelił 5 głuszców a 4 postrzelił, drugiego dnia w Jabłonnej, na granicy Butywli, zastrzelił 3 a 2 postrzelił. — Rozbił dwa tokowiska doszczętnie!!! Może ten Pan sam pochwali się rekordem? — Pogłoskę powyższą powtarzam na podstawie wiadomości, otrzymanych z Zarządu Butywli.

Rekord niesłychany! Mojem zdaniem, Pan ten musiał się pomylić co do jakości strzelanego ptactwa, może mu się zdawało, że strzela do kaczek?

Stanisław Wiktor Orski, delegat na powiat Skolski

Sprawozdanie łowieckie z powiatu Chrzanowskiego

Ponieważ już dawno na łamach „Łowca" nie było wieści z powiatu chrzanowskiego, przeto pragnę lukę tę pokrótce wypełnić. Powiat tutejszy w swej części północno-zachodniej jest silnie uprzemysłowiony, grunta piaszczyste, jałowe, co razem z silnym ruchem ludności, powoduje, że jest stosunkowo ubogi w zwierzynę. Lepiej pod tym względem uposażona jest część wschodnia i południowo-wschodnia, gdzie ziemia żyźniejsza, dużo lasów i ludności mniej, tak że zwierzyna tu znajduje więcej spokoju i warunków pomyślnych do rozmnoży. Południową granicę powiatu tworzy Wisła, której wylewy od czasu do czasu dosyć znaczne szkody w zwierzostanie powodują. Ogólny obszar terenów łowieckich wynosi (w okrągłych cyfrach) 68.500 ha, w tem terenów własnych 25.000 ha, zaś gminnych 43.500 ha. Na obszarze tym ubito za czas od 1 lutego 1931 do 31 stycznia 1932, ogółem 14.230 sztuk zwierzyny szkodliwej i pożytecznej, a mianowicie: rogaczy 6, zajęcy 2.531, królików 321, dzików 6, lisów 60, psów 983, kotów 2.101, tchórzy 6, łasic 983, kun 7, bażantów 222, kuropatw 3.461, przepiórek 8, cietrzewi 76, słonek 19, kaczek 91, kszyków 66, innych błotnych ptaków 31, ptaków drapieżnych, przeważnie wron i srok 3.366.

Z terenów wspólnych dzierżawią właściciele majątków okrągło 18.000 ha, reszta jest wydzierżawiona przeważnie dobrym myśliwym, z których niektórzy nawet po kilkanaście gmin dzierżawią, może tylko 3 lub 4 gminy znajdują się w nieodpowiednich rękach. Trzy Towarzystwa łowieckie na tutejszym terenie dzierżawią przeszło jedną czwartą część wszystkich terenów wspólnych, co przez ich racjonalną gospodarkę, wydatnie przyczynia się do podniesienia zwierzostanu i tępienia szkodników.

W ostatnich latach na skutek pomyślnych warunków atmosferycznych nastąpiła naogół duża poprawa w zwierzostanie, zwłaszcza kuropatwy niesłychanie się rozmnożyły, rok bieżący obiecuje też być bardzo dobrym; stosunkowo mniej przybyło zajęcy, a to dlatego, że oba ostatnie przedwiośnia, były zimne i mokre i dużo marcowych zajęcy wyginęło. Sarn mamy bardzo mało, bo brak odpowiednich dla nich terenów. W kilku rewirach znajdują się bażanty, które wykazują stały przyrost. W powiecie jest również kilka ostoi królików i cietrzewi, które ostatniemi laty ogromnie się rozmnożyły. Ptactwa błotnego jest z braku odpowiednich terenów bardzo niewiele. Stale jest tu dużo ptaków szkodliwych, zwłaszcza wron, lecz tępi ich się bardzo dużo. Kłusownictwo a zwłaszcza wnykarstwo było tu wskutek gęstości zaludnienia zawsze dosyć rozpanoszone, ostatnio bezrobocie przyczynia się do powiększenia szeregów tych szkodników zwierzyny, lecz władze dosyć ostro występują i idą na rękę sferom łowieckim.

Na ogół horoskopy łowieckie na rok bieżący są dosyć pomyślne, oby choć ta nadzieja nas nie zawiodła.

Płaza, w maju 1932 r.

Antoni Starzeński, delegat na powiat Chrzanowski

Przyjęcie uczestników Zjazdu Naczelnej Rady Strzelectwa u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej

Dnia 8 maja o godzinie 5-tej popołudniu, Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjąć raczył uczestników Zjazdu Naczelnej Rady Strzelectwa oraz zaproszonych specjalnie dla przedstawienia Mu wybitnych działaczy i czołowych zawodników w strzelaniach wojskowych, myśliwskich i łuczniczych.

Z pośród działaczy i organizatorów narodowych i międzynarodowych zawodów w strzelaniach myśliwskich z ramienia Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, na przyjęciu obecni byli pp.: Wiceprezes zarządu gen. dyw. K. Fabrycy, J. hr. Bielski, Lwów, H. Górski — Poznań, Wł. Żarnowski — Radom, B. Gędziorowski, C. Lisowski i K. Kamieński — Warszawa. Z czołowych zawodników w strzelaniach myśliwskich, pp.: J. Kiszkurno (mistrz świata, Europy i Polski z r. 1930, w strzelaniu do rzutków), kpt. J. Podoski (czł. ekipy — mistrza świata w strzelaniu do jelenia), W. Goliszewski (mistrz Polski z r. 1931, w strzelaniu do rzutków), K. Koschembahr-Łyskowski (mistrz Lwowa z r. 1931 w strzelaniu do rzutków), Al. Ostrowski (mistrz Polski, Małopolski i Lwowa w strzelaniu do jelenia), A. Baranowski (członek ekipy reprezentacji Polski w międzynarodowych strzelaniach do rzutków w Sopotach), St. Czerski (członek ekipy reprezentacji Polski w międzyn. strzelaniach do rzutków w Sopotach).

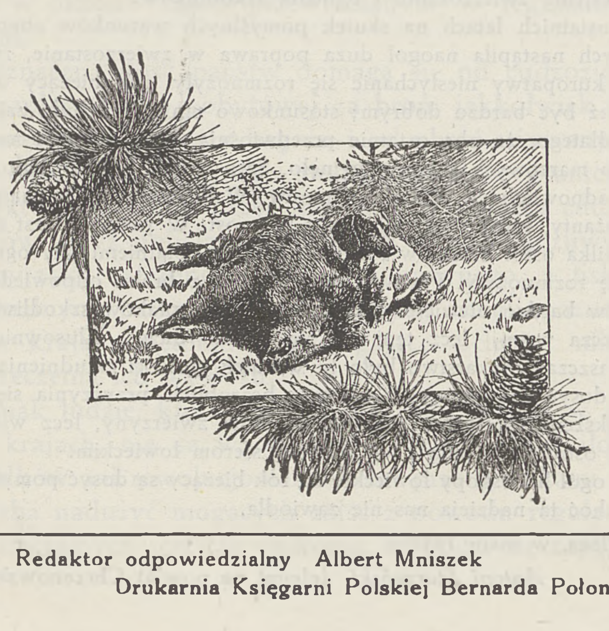
P. wiceminister Spraw Wojskowych gen. dyw. Fabrycy w przemówieniu powitalnem podniósł znaczenie wychowawcze sportu strzeleckiego dla spraw obrony Państwa.

Płk. Felsztyn w dłuższym referacie przedstawił historję rozwoju sportu strzeleckiego w Polsce, podkreślając, iż polscy zawodnicy w ostatnim roku wysunęli się na czoło w międzynarodowych zawodach, zdobywając pięć mistrzostw świata i Europy, a w tem trzy mistrzostwa w strzelaniach myśliwskich.

Następnie wszyscy obecni przedstawieni zostali Panu Prezydentowi. Po wspólnem zdjęciu podano herbatę, która w miłym nastroju, przeciągnęła się do godziny 7-mej wieczorem.

Pan Prezydent spędził dłuższą chwilę w rozmowie z pp. Gen. Fabrycym i hr. Bielskim, żywo interesując się strzelaniem myśliwskiem i sprawami łowiectwa wogóle.

Za zasługi na polu strzelnictwa w Polsce w dziale organizacji i strzelania myśliwskiego odznaczeni zostali: złotym krzyżem zasługi ś. p. Adam Ebenberger, b. komisarz strzelnic myśliwskich na zawodach narodowych i międzynarodowych i Józef Kiszkurno, zdobywca mistrzostwa świata; srebrnym krzyżem zasługi pp. Eustachy Barański, kpt. Jerzy Podoski i por. Kazimierz Zalewski — członkowie zespołu, który zdobył mistrzostwo świata w strzelaniu do jelenia.



MIĘDZYNARODOWE TARGI WSCHODNIE

Komitet organizacyjny Wystawy Psów Rasowych, która się odbędzie w ramach tegorocznych XII Targów Wschodnich w dniach 24, 25 i 26 czerwca b. r., ogłasza

KONKURS FOTOGRAFICZNY

otwarty dla wszystkich P. T. Amatorów i Fotografów na temat:

„CZŁOWIEK I PIES"

Wykonanie fotografji może być dowolne, format nie mniejszy niż 18 × 24. — Poszczególni wystawcy, biorący udział w Konkursie, mogą wystawić najwyżej po 5 zdjęć fotograficznych.

Fotografje należy nadsyłać najpóźniej do dnia 15 czerwca pod adresem: Targi Wschodnie, (Wystawa Psów Rasowych), Lwów — tam też bliższe informacje (Tel. Nr. 5-37).

Nadesłane fotografje umieszczone zostaną w specjalnym pawilonie w obrębie Wystawy Psów Rasowych. Dekorację pawilonu i odpowiednie rozmieszczenie fotografij, przeprowadzi Komitet wystawy. — Do Konkursu przyjęte zostaną tylko fotografje artystyczne.

Ocenę nadesłanych fotografij przeprowadzi Jury Konkursu, do którego zaproszeni zostali JWPP.: Profesor Adam Lenkiewicz, Inż. Witold Romer, Zygmunt Rozwadowski. — Za najlepsze, tak pod względem kompozycji jak i artystycznego wykonania prace, wyznaczył Komitet Wystawy 3 nagrody, a to: I. nagroda — zł. 100, II. nagroda — zł. 50, III. nagroda — zł. 25.

Przyjęte do Konkursu prace będą wystawione na sprzedaż po cenach oznaczonych przez wystawców, a od ceny sprzedażnej, 15% przypada na rzecz Komitetu. — Zgłoszenia należy wypełniać wedle załączonego formularza.

KOMITET ORGANIZACYJNY

S. Nikorowiczówna — sekretarka

A. Mniszek — prezes



Redaktor odpowiedzialny Albert Mniszek

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16